Nr. 19. Warszawa, dnia 26 Kwietnia (8 Maja) 1872 roku. ROK VIII.

Cena prenumeraty:

W Warszawie:

rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie „ 75
miesięcznie — „ 25

Na prowincyi.

rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

Seryja trzecia.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni G. Centnerszwera ul. Marszałkowska Nr. 73; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda i Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

OPIEKUN DOMOWY.

PISMO TYGODNIOWE

sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęcone.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Nowy Swiat Nr. 30 (nowy).

TREŚĆ.—Sprawy dziecinne, przez Al. G.—Druga miłość, powieść Julii Kavanagh tłumaczenie W. Bartkiewicza, (Ciąg dalszy). — O nauczaniu początkowem przez Wł. Puchewicza (Dokończenie).—Biblijoteka domowa.—Rozmaitości. — W dodatku: Margraf Gero. Tragedyja przez Józefa z Mazowsza. (Ciąg dalszy).—**W odcinku** Ślady życia. V.

SPRAWY DZIECINNE.

I.

Przedmiot niniejszej pracy nie będzie dla nikogo obojętnym: chcę bowiem mówić o dzieciach, któremi w ten lub ów sposób zajmuje się każdy, dla których każdy czuje jakąś życzliwość, pominąwszy nawet rodziców, widzących w nich szczęście swoje, i myślicieli widzących w nich przyszłość narodu. Komuż nie zdarzyło się zachwycać ich pięknością, naiwnym wyrazem twarzy, niekiedy wyszukaną przyzwoitością i ujmującą prostotą ich mowy? Kto przy pierwszej zaraz wizycie w familijnym domu nie pieścił tych małych osób tak grzecznych, usłużnych i roztropnych, nie podziwiał ich oryginalnych pytań i trafnych odpowiedzi, wróżących najpiękniejsze nadzieje? I jakkolwiek jedni mniej, drudzy więcej gustują w dzieciach, każdy przyznać musi, że posiadają one wiele przymiotów, zdolnych na pierwszy rzut oka podbić najchłodniejsze serce, — przymiotów na podstawie których przed wiekami oparto maksymę: „jeżeli nie staniecie się takiemi jak one, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego."

Lecz obok tych jasnych stron dzieciństwa znajdują się i ciemne, co chwila stwierdzające nowszą, a nie mniej prawdziwą zasadę, że: „dzieci, są to mali ludzie." Jeżeli bowiem nie poprzestając na powierzchownej znajomości familijnego domu, potrafimy uzyskać zaufanie rodziców i domowników, — z urywanych początkowo, a obszernych następnie rozmów przekonamy się, że w domu owym, przyczyną najważniejszych trosk, kłopotów i zatargów są właśnie dzieci.

Te piękne aniołki, w gruncie, nie wiele mają podobieństwa do aniołków. Prawie każde z nich (bo wyjątki są rzadkie) zna i używa kilku przekleństw, nieprzyzwoitych wyrazów i piosneczek; każde odznacza się *wyjątkowym* (w oczach rodziców) brakiem ambicyi, wdzięczności i zastanowienia; każde coś tłucze i psuje, jest uparte, leniwe, krnąbrne względem matki, nieznośne dla służących, — słowem w każdem dziecku znajdują się zawiązki wszystkich wielkich i małych grzechów.

I gdyby te tylko były wady owego błogosławionego wieku! Któż niesłyszał o dziesięcioletnich zazdrośnikach, pochlebcach, katach zwierząt, bezwstydnych kłamcach, złodziejach nawet!... Serce się ściska czytając coś podobnego,— zwątpienie ogarnia na myśl, że odrażające te występki pospolitszemi są nawet, niż nam się wydaje.

Choroby nurtujące społeczeństwo sięgają aż tak głęboko, — odkrywać je zatem i leczyć powinien każdy, o ile siły starczą, bo niebezpieczeństwo mimo że stare jak świat, nie przestaje być groźnem, rujnuje teraźniejszość, podkopuje przyszłość, i nie wiadomo jakich jeszcze dosięgnąć może rozmiarów.

Artykuł niniejszy w takim właśnie napisany jest celu. Nie ma on pretensyi dotknięcia wszystkich wad dzieciństwa, lecz dla kilku zaledwie i to najniewinniejszych, choć może zasadniczych, jak: nieprzyzwoitość, szkódność, nieposłuszeństwo, gniew, krnąbrność i upór, wskaże *sposoby znalezienia przyczyn i środków zaradczych*,—polecając wypróbowanie ich rodzicom i opiekunom.

Nim przystąpimy do przedstawienia nieznanej, zwróćmy uwagę na znaną i używaną metodę moralnego wychowania dzieci, z góry ostrzegając, że i pod tym względem trafiają się pewne wyjątki.

Przedewszystkiem tedy, uwydatnia się w dzisiejszem wychowaniu najgłębsza nieznajomość tak fizycznej jak i duchowej strony dzieci i wszechwładne panowanie rutyny. Rodzice i opiekunowie dbają o zdrowy pokarm, czystą odzież wychowańców, chronią ich od kalectwa, starają się o doktora i lekarstwo w czasie choroby, — oto wszystko co dzięki rutynie stanowi przedmiot zabiegów około ciała; lecz gimnastyka, ćwiczenie zmysłów, wspólna w towarzystwie rówieśników zabawa, stosowanie prawideł higieny leżą za obrębem rodzicielskiej wiedzy, a zatem i troskliwości. Ze względu znowu na umysł, dba się o to by dziecko umiało czytać, pisać, rachować, parę języków, trochę historyi i jeografii; o stopniowem rozwijaniu umysłu za pomocą faktów codziennych, o nieobciążaniu pamięci niepotrzebnemi wiadomostkami nikt nie wie i nikt się nie troszczy.

Ale nierównie większa jeszcze okazuje się niewiadomość tam, gdzie chodzi o wyrobienie charakteru dziecka. Ta strona jego duszy codzień stoi otworem dla wszystkich

ŚLADY ŻYCIA.

V.

Tyle życia, ile... w czynie.

Idea stowarzyszeń głęboko wniknęła w życie publiczne naszego społeczeństwa. Kilkakrotnie mieliśmy już sposobność wspominać o nowo-powstających towarzystwach, dziś przychodzi nam zanotować fakt drobniejszy wprawdzie, ale nie mniej pocieszający, dowodzi on bowiem że idea powyższa i w ciasnem kółku sąsiedzkiego życia z korzyścią zastosowaną być może. Z *Brzeźnickiego* donoszą do Gazety Polskiej że okoliczni mieszkańcy, mając wielce utrudnione nabywanie pojedynczych książek dla znacznej odległości od księgarń, a pragnąc znać płody najświeższe wydawnictwa, postanowili za przykładem *Lipnowskiego* zawiązać między sobą *kółko czytelnicze* mające na celu sprowadzanie większemi partyjami książek za składkowe pieniądze, aby następnie z końcem miesiąca rozlosowywać je między składkodawców. Projekt ten powstał podobno za natchnieniem miejscowych pań. „W istocie dodaje Gazeta Polska, księgarni prowincyjonalnych w kraju naszym jest ledwie kilka, a tak wielkie przysługi oddające społeczeństwu francuzkiemu kolporterstwo, ogranicza się u nas do żywotów świętych lub opisów cudów, które utrzymując wiarę w jakiej nadzwyczajności, szkodliwy wpływ na umysł czytelnika wywierają. Brak zatem książek czuć się daje na prowincyi wielki. Brakowi temu kółka czytelnicze zaradzić mogą." Ze swej strony dodalibyśmy tylko uwagę, czy niebyło rzeczą pożyteczną, ażeby obok pożyczania książek do czytania, zbierano się od czasu do czasu dla wymiany myśli, przyczem młodzież winnaby brać na siebie obowiązek piśmiennego lub ustnego zdawania sprawy z książek przeczytanych. Tym sposobem zyskiwałyby obie strony, i na wiadomościach i na wprawie w umiejętnem udzielaniu ich drugim. Wczasie wakacyjnym młodzież uniwersytecka rozpraszając się po kraju powinnaby myśl tę propagować słowem i czynem.

* * *

Otrzymaliśmy list z Lubelskiego, który tem chętniej tu pomieszczamy, że porusza jednę z bardzo ważnych spraw, sprawę życia na wsi. „Życie na wsi jest tak jednostajne, że trudno jest robić nad niem jakieś obszerniejsze i głębsze spostrzeżenia. Przeżywszy jeden dzień, możesz już śmiało wyprorokować, jak przepędzisz drugi z wyjątkiem chyba tylko niedzieli, której dostaje się cokolwiek inna fizyjonomija w podziale. Ci sami ludzie, te same przedmioty, te same zajęcia: oto jest całe malowidło na bladym kolorycie tutejszego żywota. To też potrzeba silnej zewnętrznej pobudki, ażeby nas wyrwać z tego zaczarowanego koła codziennych kłopotów i codziennych niby rozrywek. Pobudką taką bywają zwykle pisma peryjodyczne (nie mówię o książkach, bo te są nadzwyczajnym fenomenem). Niedawno temu odebraliśmy artykuł 355 Nr. *Kłosów* a w nim wyczytaliśmy artykuł pana *Tatarkiewicza*: Życie domowe i towarzyskie (Z Wycieczki na wieś). Czytamy i rozpływamy się z radości, że przecież tak ogniście w Warszawie nas chwalą... Bo i jakże!... Żeśmy gościnni, no to mniejsza, wiedzieliśmy już o tém oddawna, jestto cnota staropolska

złych i dobrych wpływów, na których setną część zaledwie zwracają uwagę rodzice, a i z tą jeszcze nie umieją sobie poradzić. Drobne nieposłuszeństwa, psoty, grymasy—uchodzą niepostrzeżenie, często zbywają się śmiechem; drobne zaś cnoty stanowią co najwyżej punkt oparcia dla opinii, że dziecko przy swoich wadach ma przynajmniej *dobre serce*. Oto wszystko. Dopiero kiedy się trafi czyn bardziej rażący prawimy dziecku o obowiązkach, odwołujemy się do jego ambicyi nieledwie do honoru, grozimy, płaczemy i używamy tysiąca wpływów *moralnych*, z których ani jeden nieprzystaje do umysłu i pamięci dziecka, potrzebującego nie słów, ale faktów. A jakież są te fakta?

Kiedy dziecko cioci poda stołeczek, całuje się je i daje mu cukierek lub pomarańczę; odtąd ciocia najregularniej będzie dostawać stołeczek, chyba, że cukierków zabraknie, lub że te staną się rodzajem podatku składanego przez wszystkich gości. Kiedy dziecko coś zbroi, grozimy mu karą czasami bardzo ciężką, — lecz wkrótce zapominamy o niej, pieścimy, dajemy łakocie i znowu przy okazyi powtarzamy groźbę — przygotowując w ten sposób grunt do lekceważenia słów naszych.

Nareszcie spada owa dawno zapowiedziana kara,—lecz co jest jej najbliższym powodem.? Albo zły humor, albo *zasada*....

Często bowiem dziecko dostaje rózgi wówczas, gdy, trafiwszy na nas już zniecierpliwionych, dopełniło miary niecierpliwości,—często kara jest odwetem za upór, kiedy mianowicie nasprzeczawszy się z wychowańcem i nie mogąc go przekonać słowami, powołujemy się na ten ostatni argument naszej słuszności, czy siły. Niemnożąc przykładów dobrze znanych każdemu, śmiało powiedzieć można, że,—w skutek takiego postępowania, nie ma dziecka w którego umyśle skojarzyłyby się wyobrażenia występku i kary, cnoty i nagrody. Dziecko idzie na zabawę gdy jest sposobność, choć tego dnia kilka razy grożono mu rózgami, — dostaje łakocie, gdy te są w domu, choć w tej chwili słyszało, że ich nie dostanie. I naodwrót, niekiedy ściąga nań karę taki czyn, na który dziesięć razy przedtem nie zwracano uwagi. I cóż pozostawić może w pamięci dziecka postępowanie podobne? To tylko, że: starsi mogą mu robić przykrości i przyjemności kiedy im się podoba, lecz niewiadomo za co,—i, że: dobrze jest w pewnych wypadkach płakać, prosić, przepraszać, obiecywać i t. d.

Wspomniałem o karze *z zasady*, przypatrzmy się temu widmu z dawno ubiegłych czasów.

Jeżeli dziecko uderzy sługę, upominamy je, słudze zaś—każemy ustąpić; gdy się występek powtarza krzyczemy, gniewamy się, wreszcie—radzimy słudze, aby na podobne drobnostki nie zwracała uwagi, bo to dziecko jeszcze. Lecz, jeżeli owo dziecko w gniewie,—nad wytworzeniem i rozwinięciem którego wiele lat pracujemy,—uderzy ciotkę, babkę, wuja,—wówczas zmienia się porządek rzeczy, występuje rózga i dzieciak dostaje straszliwe cięgi. I dla czego to? Z zasady,—bo uderzył osobę, którą kochać i szanować powinien.

Brzydki to występek, o którym mówiłem i zasługuje na karę; lecz gdy dziecko wije się z bólu i nam mimowoli łzami zachodzą oczy, spytajmy—kto winniejszy? Czy ci, którzy pozwalali bić sługę, podnosić rękę na *człowieka*, czy dziecko—które w nadanych mu prawach o krok posunęło się naprzód? Czy ci, którzy tolerowali setki drobnych oznak krnąbrności względem matki, czy dziecko—które zdobyło się na jedną większą krnąbrność względem ciotki?

Był czas, że za występki ogółu, kapłani na stosach składali bogom ofiary z tego co było najniewinniejsze w narodzie, najdroższe w rodzinie: z chłopców i dziewic zaledwie wyszłych z dziecinnego wieku; później powiedziano nam, że od czasu ostatniej, wielkiej,—nie będzie już krwawych ofiar za grzechy ludzkości. Bądźmi ostrożni! bo w oczach myśliciela, ból bitego dziecka jest krwawą ofiarą za grzechy rodziców, domowników i całego społeczestwa, które zaślepione pychą wszystkie swoje winy składa na głowy niewinnych i zamiast wejrzeć w siebie i siebie pohamować, — tyranizuje własne dzieci, jak gdyby one, wczoraj przyszedłszy na świat, winne były występków, które my, ojcowie nasi i ojcowie ojców naszych nagromadzaliśmy tak systematycznie i z takiem zamiłowaniem.

To, co powiedzieliśmy dotąd, w oczach uprzedzonego czytelnika, mogłoby uchodzić za pewine: rodzaj skargi rzuconej rodzicom w imieniu nich dzieci, o które oni niby nie dbają. Dalecy jesteśmy od robienia komukolwiek wyrzutów, z ogólnej bowiem liczby win każdy jakąś część ich nosi na sobie. A zresztą i kogo tu obwiniać?...

Czy te matki, których nikt nie uczył pedagogii, którym nikt nawet nie wspominał o takiej nauce, a które — dziwią się i płaczą nad dziećmi, nie mogąc z niemi poradzić, a wiedząc, że źle jest? Czy tych ojców, którzy po całodziennej pracy w mieście, znękani, jutra niepewni,—dokończywszy roboty w domu, wytężają resztę sił, aby syna czegoś nauczyć? Sumienia miećby nie trzeba chcąc takim rodzicom wyrzucać błędy, których oni nie są winni, a które kosztem zdrowia i życia radziby usunąć.

A może oskarżam matki oddane zabawom i tualecie, rozmyślaniom o emancypacyi, najświeższych sztukach i najskandaliczniejszych romansach? Może tych ojców, co za domem trwonią zdrowie i pieniądze, a dzieci swe uważają za dowód gniewu bożego? Bynajmniej. Ich oskarżać,—znaczyłoby to zwracać na nich uwagę, a oni nie warci uwagi.

Nieoskarżamy więc nikogo, lecz zaznaczywszy fakta pragniemy pomódz tym, którym wielka kwestyja wychowania leży na sercu, którzy mają czas i siły zająć się nią i poprawić w zakresie swojej działalności.

Powiedzielismy więc, że kary dorywcze tudzież morały ustne, nie mają żadnej prawie wartości w wychowaniu dzieci; przejdźmy teraz do innych środków, pamiętając, że chodzi o wady małe i pospolite.

Przedewszystkiem należy sobie postawić za zasadę, że wszelkie uniesienia tak gniewu, jak i czułości nie mogą mieć miejsca tam, gdzie chodzi o badanie i sądzenie: w tych wypadkach niech rozum kieruje uczuciem,—nigdy na odwrót. Każdej zatem wadzie dziecka należy przeciwstawić zimną krew, nie gniewać się kiedy źle robi, nie przebaczać a tem mniej pieścić kiedy przeprasza, — lecz zapamiętawszy fakt, — sobie i dziecku dać czas do ochłodnięcia.

Stanąwszy na tym punkcie w pewnym szczególnym wypadku należy łagodnie przedstawić dziecku co zrobiło, objaśnić co tu jest złem i dlaczego, i spytać o powód błędu. Jeżeli się chce wiwinąć naprowadźmy je na dobrą drogę, zmusiwszy tym sposobem

---

a podobno i starosławiańska. Ale obok tego postępujemy wraz z rozwojem całego ucywilizowanego świata, uczymy się wszystkiego, co tylko mądrzy ludzie wymyślili, badamy, probujemy a nawet doskonalimy wszystkie rzeczy z naszym fachem związane. W każdym nieomal domu znajduje się biblijoteczka agronomiczna złożona nieraz z kilkudziesięciu lub kilkuset tomów. Każda poczta rozchwytywana jest z największą gorączką, gazety nadchodzące czytane są bezzwłocznie. Karty coraz mniejszego używają wzięcia; są domy, w których zielony stolik stanowczo ze sprzętów pokojowych został usunięty, a młodzież wstydzi się zasiąść do kart wtedy, gdy w sąsiednich salonach siedzą starsze lub młodsze panie i panny. Do partyjki preferansa dopiero ksiądz proboszcz musi zapędzać posiwiałych dziaduniów i babki. A toż, pomyślałem sobie, jesteśmy już w raju. Czegóż tu więcéj od ludzi żądać? Wprawdzie za rzuca p.T. nam plotkarstwo, ale jakżeż człowiek żyć może, ust nie odmykając, a powtóre skądżeż mogą być plotki, jeżeli wszyscy tak pilnie zajęci są pracą, nauką, czytaniem pism peryjodycznych, próbami i doskonaleniem? Ej, widocznie chciało się Warszawiakowi coś do nas upatrzeć koniecznie, jeżeli nic innego nie mógł wymyśléć. Ale nie, niech sobie ten zarzut zostanie i niech ja pierwszy jemu ulegnę właśnie będę plotkował. Znam ja sąsiadów uważanych za śmietankę towarzystwa na piętnaście mil w promień, którzy otrzymują jednę tylko *Gazetę Warszawską*, i tę nawet na letni kwartał od księdza proboszcza gratis prenumerują. Znam takie domy, w których całoroczna literatura mieści się w jednym kalendarzu, co niedziela odczytywanym. Znam inne, w których znajdują się wprawdzie książki *Supińskiego*... ale z nierozciętemi kartkami. Na pocztę posyłano skwapliwie, ale wtedy jeszcze kiedy to wojna francusko-niemiecka wszystkich intrygowała. A co się tyczy zielonych stolików, no, to może ich nie ma w wielu domach, dla tego, że potrafią grać w preferansa i na czarnych, białych orzechowych i t. p. Owszem gra stanowi jedyną zabawę, jedyną nieraz rozrywkę... niedzielną i świąteczną, a już urodziny imieniny i t. p. domowe fety bez nich w żaden sposób obejść się nie mogą. Że jest młodzież zdolna, żądna nauki, gardząca powszedniemi zabawkami, temu trudno zaprzeczyć, ale cóż stąd? Zdolniejsi wyjeżdżają do Warszawy i tam już pozostają, wracać się nie chce, mając czy rozrywek poddostatkiem, czy też odpowiedniejsze swojemu wykształceniu towarzystwa. Pozostali—ludzie to dobrzy, ale prochu nie wymyślą, a więc nie mogą ożywić, rozruszać, pobudzić, zachęcić do jakichś wyższych zajęć, któreby nie przeszkadzając pracy około roli, nie wykluczając zabaw koniecznych, równie dla zdrowia fizycznego jak i swobody umysłowéj, podnosiły poziom ogólnéj oświaty nad praktykowaną dotąd sferę. Wszyscy się skarżą na nudność towarzystwa. Jedna pani na propozycyją odwiedzenia sąsiedztwa w niedzielę odpowiedziała z lekceważeniem: „A! wolę już spać, niż tak się bawić:” I rzeczywiście spała... Brak inicyjatywy, brak téj dążności do jakiegoś działania według mnie jest może najwalniejszą przeszkodą do życia czynniejszego, ruchliwszego, któreby znamionowało postęp na drodze oświaty. Każdy zamknie się jak ślimak, w czterech rogach swego dworku i nie chce z niego wyjrzeć, nie chce się wystawiać na trudy i niepowodzenia. A jednakże trzeba zacząć; z początku będzie szło wszystko kulawo, rozmowa się będzie urywała, szkółka nie zasłuży może na nagrodę pedagogiczną, koncerciki będą liche... ależ tak zawsze bywa na początek. Kto nie wstanie, ten trudno żeby mógł się wyścigać. Pochwały istniejącego stanu rzeczy, zdaje mi się przynajmniéj, nie zdołają osiągnąć innego celu nad pozostawienie *statu quo*. Upajają one, pochlebną wzmianką jednają ludzi, podbijają ich serca;—ale poprawy na lepsze nie sprowadzą: Są one jak bławatki w polu... piękne

do uznania błędu, naznaczmy pokutę mając wzgląd i na to, oile dany błąd zależy od danej woli,a co okolicznościom przypisać należy.

Naznaczywszy po głębokim namyśle pokutę, a co lepiéj skłoniwszy dziecko do tego, aby samo ją sobie naznaczyło i wykonania jéj pilnowało,—nie cofajmy kary pod żadnym pozorem, bez względu nawet na łzy, przyrzeczenia i protekcyje osób trzecich. Lecz z drugiej strony należy również uważać i na czyny dobre i za te naznaczać nagrody.

Nad temi ogólnemi zasadami, nad tą procedurą postępowania z dzieckiem, nie widzę potrzeby rozwodzić się szerzéj. Rzeczy te bowiem znane są jak katechizm, i bez uszczerbku dają się zamknąć w kilku wyrazach: Zimna krew, wyrozumiałość, objaśnienie, sprawiedliwość, nieugiętość.

Lecz kwestyje te stanowią zewnętrzną stronę postępowania, którego głównym celem jest wytworzyć w umyśle dziecka, takie skojarzenia pojęć, aby o ile można: *z każdym czynem złym łączyła się przykrość, a z każdym dobrym przyjemność.* Następstwo tych skojarzeń będzie bardzo do odgadnięcia łatwe, gdy pomyślimy, iż dziecko wiedząc napewno że się sparzy, nie kładzie palca w ogień, a z drugiéj strony jest lepszem, kiedy w nagrodę grzeczności spodziewa się czegoś przyjemnego.

Aby jednak powyższa zasada mogła być wprowadzoną w życie, wymaga trzech ze strony wychowawcy warunków.

1) Wytrwałości i pracy, rozumie się zarówno nad sobą jak i dzieckiem.

3) Dokładnéj znajomości najdrobniejszych szczegółów dziecinnego życia.

3) Używania za karę i nagrodę nie nadzwyczajnych środków, ale wszystkich bez wyjątku okoliczności stanowiących życie codzienne.

Jakkolwiek rodzice i opiekunowie w ogóle przypisują sobie dokładną znajomość postępowania i usposobienia swych dzieci,—mamy jednak wszelkie prawo wątpić o tem. Niech bowiem rodzice nie ogólnikowo, ale szczegółowo powiedzą nam: jakie wady i przymioty,—które w niższym, a które wyższym stopniu posiadają ich dzieci, które z tych wad lub przymiotów wzmagają się, a które słabną, jak dawno zostały nabyte i jakie są ich przyczyny? Jakich używano środków i jaki one skutek wywarły; jak często należy powtarzać dziecku karę za pewien występek, aby takowy usunąć lub przynajmniéj bardzo osłabić?

Ze względu zaś na usposobienie: w jakim stopniu dziecko jest powolne lub żywe, skryte lub otwarte; czego się lęka, czego wstydzi, czego pragnie, co za większą lub mniejszą karę uważa?

Tego rodzaju wiadomości, nieoszacowane w kierowaniu dziećmi, zdobywają się długą pracą, obserwacyją i *spisywaniem najdrobniejszych szczegółów i uwag, wszystko o ile można wyrażając liczbami.* Naprzykład:

Przypuśćmy, że z całomiesięcznej obserwacyi wypada, iż dziecko jakieś przeciętnie na dzień gniewa się *7* razy, niesłucha *5* razy, robi szkodę raz na *3* dni, samo spojrzenie na te liczby, wskazuje nam przeważającą wadę. Przypuśćmy, że nieposłuszeństwo i gniew najczęściej objawiają się po nauce i przed obiadem, oprócz tego gniew często występuje w stosunkach ze sługą, widocznie należy podejrzewać zmęczenie, głód i sługę jako przyczyny drażniące dziecko. Jeżeli w jednym miesiącu przeciętna liczba gniewów na dzień była *7*, w drugim *10*, to widocznie gniewliwość wzrasta, gdyby zaś w poprzednim miesiącu dziecko chodziło na spacer ogółem *40* razy, w następnym z różnych powodów tylko *10* razy, to widocznie zmianę usposobienia należałoby przypisać zmianie trybu życia i wpływać przedewszystkiem na reformę tej ostatniej.

Gdyby np. dziecko w jednym miesiącu nieposłuszne *5* razy dziennie, w następnym, po wprowadzeniu kary klęczenia okazało dziennie *8* nieposłuszeństw to widocznie kara jeżeli nie szkodliwą, przynajmniej jest nieużyteczna. Jeżeli zaś stosując do krnąbrności karę głodu, potrafiliśmy z *3* wypadków dziennych tej wady, zmniejszyć ich liczbę do *2*, to widocznie głód jest skutecznym, i do niszczenia innych wad zastosowany być może.

Podobna statystyka, podobne doświadczenia i przy rozstrzyganiu innych wątpliwości zastosowane być mogą. Jeżeli dziecko żyjące wśród pewnych warunków i towarzystwa popełnia średnio 10 różnych wad na dzień, w innych warunkach i towarzystwie popełnia wad 8, a jeszcze w innych popełnia wad 15 na dzień, to widocznem jest, że ostatnie towarzystwo było dla dziecka najgorszem, przedostatnie najlepszem. Co więcej, badając przyrosty i ubytki liczebne szczegółowych wad i przymiotów dziecka, można z pewnem prawdopodobieństwem wnosić o wadach i przymiotach towarzystw.

Przy pomocy tego rodzaju statystyki dalej nawet, bo do przepowiadania przyszłości dziecka posunąć się można, i tak: Jeżeli dla trojga dzieci żyjących razem z porównania ich tablic okazuje się, dajmy na to co do chorób, że: Józio przeciętnie rocznie przeszedł małych i wielkich słabości 10, Jaś 4, Mania 40, to z dzieci tych najpewniejszem jest Jaś, największej wymagającem opieki Mania, rozumie się przy warunkach, że obserwacyje lat kilkanaście były robione i że wyłączymy stąd niespodziane wypadki jakie w dalszem życiu trafić się mogą. Podobnież, jeżeli Jaś bije Józia *3* razy na dzień, Józio zaś Jasia *1* raz na miesiąc, gdy Jaś płacze *1* raz na tydzień, Józio *2* razy na dzień, gdy Jaś nieposłuszeństw popełnia na dzień *7*, Józio *3*, pochwał i nagród za roztropność i zręczność Jaś dostaje 2 na dzień, Józio 1 na miesiąc,—niezawodnie Jaś od Józia prędzej da sobie radę na świecie.

Może metodzie tej zechce kto zrobić zarzut niepraktyczności? Nie sądzę,—ponieważ właśnie na tego rodzaju wskazówkach lubo o wiele niedokładniejszych, opierają się nasze sądy o charakterze dzieci, nasze wróżby co do ich przyszłości [1].

Zbierając z jednej strony takie fakta, należy z drugiej okazywać dziecku, że się nad niem nieustannie czuwa—ciągle, a szczególniej wieczorami przypominając mu całodzienne postępowanie i objaśniając czyny złe i dobre przykładami skutków z jego lub innych życia czerpanemi. Można się go również wypytywać, co w ciągu dnia najwięcej zrobiło mu przyjemności lub przykrości, notować te uwagi dla celów dalszych, a jednocześnie zaprawiać go do zastanowienia nad własnem postępowaniem. Należy również wspólnie z dzieckiem układać plan jego postępowania na dzień następny i wybrawszy jakąś wadę najświeższą i najlżejszą, zobowiązać je, aby się na drugi dzień tej wady wystrzegało,

[1] Pełniejsze rozwinięcie tej metody ogłoszę wkrótce w pracy p. n. *O badaniu życia codziennego.*

---

na oko, a na ząb ani weź... A jak mnie do napisania listu, tak ludziom w ogóle do wszelkiego działania potrzeba zawsze jakiejś zewnętrznej pobudki, jakiegoś bodźca, któryby ich popchnął, ze snu obudził i wskazał co mają robić. Bo nie każdy może wszystko wiedzieć, o wszystkiem mieć wyrobione przekonanie, spostrzedz jakąś wadę, którąby należało poprawić, chwast, któryby potrzeba wyplenić... Ale dosyć już, dosyć, bo mię sąsiedzi, którzy wiedzą jak kto siedzi, gotowi jeszcze o szkalowanie posądzić..."

* * *

W miastach prowincyjonalnych objawia się jaki taki ruch na drodze ulepszeń. Notowaliśmy już niektóre jego szczegóły, które jakkolwiek drobne, pocieszającem są zawsze zjawiskiem. Dodajemy tu w dalszym niejako ciągu wiadomość poczerpniętą z korrespondencyi „Wieńca" (N. 33). W *Mławskiem* powstał projekt założenia „Towarzystwa wzajemego wsparcia" oraz „Kassy emerytalnej dla oficyjalistów gospodarczych." Zamiarem założyciela (p. Giżyńskiego) jest, aby filije powiatowe utworzyły z czasem Towarzystwo gubernijalne. Obok jednakże tych jasnych stron życia miasteczkowego, nie podobna zasłonić milczeniem i ciemnych. Stosujemy to głównie do braku ludzi zdolnych, którzyby nie wstydzili się zostawać w miastach prowincyjonalnych i nie szukali zarobku w stolicy. Skargi z tego powodu dochodzą ze wszech stron: brak lekarzy, nauczycieli, kupców na większą skalę wszędzie uczuwać się daje. „Handel, fabrykacyja, rzemiosła, pisze ktoś do *Wieńca*, tak są zaniedbane, że wydziwić się trudno, dla czego tylu ludzi zdolnych poprzestaje na podrzędnéj roli i skromnym zarobku w stolicy, gdy w każdem większem mieście z otwartemi przyjmą go rękami, byleby potrafił nas przekonać, że nauka i poczciwość z pracą w połączeniu będą jego kierownikami..." Szeroka arena pociąga ludzi a niesłusznie, bo w mniejszym zakresie można działać lepiej i korzystniej dla kraju. W związku z tą kwestyją zostaje artykuł p. *Jeleńskiego* w Nr. 17 *Przeglądu Tygodniowego* pomieszczony, w którym autor dla rozbudzenia życia umysłowego na partykularzu proponuje rozszerzenie handlu księgarskiego na małe miasteczka, nie w tém znaczeniu, żeby tam miały być osobne księgarnie, ale żeby sklepy z innemi produktami miały także parę półek z książkami. Wzywa więc pp. księgarzy warszawskich, żeby rozumną inicyjatywą zachęcili miasta prowincyjonalne do ożywienia w ten sposób jednostajnych swoich stosunków.

* * *

Piękny myślą a udatny formą obrazek sceniczny p. *Wacława Szymanowskiego* znajduje się w Nr. 33 Wieńca. Ma on napis: *Na ulicy.* Autor uchwycił tu jednę z tych chwil okropnych, w których rozpacz gnana nędzą, pędzi na oślep i gotowa przełamać wszystkie zapory moralne, byleby tylko siebie i swoich materyjalnie nasycić. Niejaki *Paweł* wychodzi o dwunastéj w nocy z szynku, przepiwszy ostatniego trojaka; a pił umyślnie by nabrać odwagi... bo w domu dzieci czekają głodne i żona spłakana. Nie chce wracać z próżnemi rękoma, sam siebie zachęca do napadnięcia na jakiegoś przechodnia. Razi go światło latarni, chce ją zgasić, nie może, brak mu bezczelności; projektuje sobie napaść z tyłu, bo nie chce widzieć twarzy tego, któremu pieniądze odbiera. W tem spotyka gałganiarza wesoło zdążającego do domu z pełnym koszem na plecach. Jedna myśl mu w głowie jak zaklęta przesiaduje; chciałby poparcia, przykładu; wdawszy się w rozmowę z tym najbiedniejszym z pracowników, wybaduje go, czyby on nie chciał twardego swego mozołu przemienić na nabycie lekkie; ale postrzega oburzenie:

I ja miałbym kraść, ja kraść! tfy do dyaska!
A toćbym wolał już lepiéj bez żalu,
Gryść kamień z bruku, lub zdychać w szpitalu,
Wolałbym widzieć śmierć dzieci i żony
Na psim barłogu, niż jeść chleb kradziony...

przedstawiając, że tym sposobem uwolni rodziców od obowiązku naznaczania mu pokuty. W dniu następnym można w danej okoliczności powołać się na uwagi i obietnice wczorajsze, ciągle jednak stosując nasze postępowanie z dzieckiem do jego czynów.

Objaśnijmy to.

Całodzienne życie dziecka jak i dorosłego człowieka jest zbiorem przykrości i przyjemności, które najczęściej tak na pierwsze jak i na drugiego spadają niespodzianie. Te nie spodzianki należy z wychowania o ile można usuwać, utrwalając w pamięci dziecka pewien rodzaj kodeksu, według którego: pokarm, napój, spoczynek, ubranie, spacer, zabawa, rozmowy z domownikami, przyjmowanie prezentów od gości i t. d. i t. d. zależałyby nie od dobrej woli rodziców, ale od zachowania się dziecka. Niech ono wie, że nieszanowanie sukien spowoduje ich zdjęcie, nieposłuszeństwo wywoła głód, nieszanowanie sług pociągnie za sobą na jakiś czas z ich stron niespełnianie jego żądań. Każda kara i nagroda wzięta nie z zakresu wypadków codziennych jest sztuczną, w życiu bowiem społeczeństwo nie karze nas rózgą lub klęczeniem, lecz głodem, brakiem przyjemności, obawą—za dobre znowu czyny nie dostajemy cukierków lecz utrzymanie, spokojność, sympatyę ludzi i t. d. Najlepszem więc prawidłem dla naznaczenia kar i nagród będzie: *pomyślawszy, jakie skutki z pewnych wad wynikają dla dorosłych, te same do dzieci stosować, posługując się okolicznościami ich życia i nieopuszczając najdrobniejszych.* Tym sposobem i dziecko łatwiej zrozumie związek między wadą i karą i wyszedłszy na świat nie będzie potrzebowało uczyć się nowego kodeksu; który dla wszystkich nas wydaje życie. Tak tedy zimna krew, ciągła baczność, nauki z życia czerpane, prawidłowość i nieugiętość w postępowaniu usuną potrzeby kar gwałtownych i wszczepią w młody umysł *zasady*, o których tak wiele mówimy, a których tak mało posiadamy.

Lecz cóż ty na to czytelniku?....

Może pokiwasz głową i powiesz, że to nad siły ludzkie; może zbędziesz śmiechem jako jednę z licznych utopij?..

Odwołujemy się do was matki. Oto ciężka praca i pole, na uprawę którego tyle prawie energii i zdolności potrzeba, ile na kierowanie okrętem lub rządzenie państwem. Pole to jest dziedzictwem kobiet: wasza tkliwość, cierpliwość, wytrwałość w przeprowadzaniu licznych a często nudnych drobiazgów, są najlepszą rękojmią, że kilka tych myśli przesiąkną w życie przynajmniej niektórych rodzin. Nie obrażajcie się, że ktoś tam chce was uczyć sztuki wychowywania, do znajomości której wy macie najwięcej pretensyi;—ludziom zatopionym w wirze codziennego życia trudno jest obmyślać jakieś plany ogólne, pracę więc tą przyjmuje na siebie teoretyk, kreśli szkic, a zupełne jego obrobienie pozostawia lepiej znającym—szczegółowe warunki życia: rodzicom i wychowawcom.

Al. G.

DRUGA MIŁOŚĆ

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom II.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ XIX.

Sybilla siedziała w swoim pokoju w domu ciotki, zadumana jeszcze o wypadku dzisiejszego ranka. Nagłe zawarcie małżeństwa ujęło nieco radości jaką z niego czuć była powinna. Nie mogła też zapomnieć wyrazu twarzy ojca, a tem bardziéj Dermota. Uległa ich zobopólnemu żądaniu, ale w sercu czuła ciężar i smutek. Szczęśliwe te narzeczone, które idą za mąż jawnie, pośród radości przyjaciół, przyjmując ich życzenia i błogosławieństwa.

Stuk do drzwi przerwał myśli Sybilli. Odsunęła zasuwkę i otworzyła je. Służąca ciotki wręczyła jéj kawałek papieru, na którym ręką Dermota było napisane: „Oczekuję”.

— Pan czeka na ganku, rzekła służąca. Sybilli oczy zabłysły radością. Nie wiedziała po co ją wzywa, ale szczęśliwa była że go usłuchać może w pierwszym dniu małżeńskiego pożycia. Zbiegła z gołą głową na słońce i znalazła go przed mieszkaniem panny Glyn.

— Nie wzięłaś kapelusza ani okrycia? spytał zdziwiony.

— Zabierasz mnie? zawołała z radością.

— Zabieram.

— Na dobre?

— Na dobre, Sybillo.

Był smutny, ale w radości swéj nie spostrzegła tego Sybilla. Sądziła że udają się gdzieś razem oboje—w kącik świata, jak nazywała—i ciężar troski spadł jéj z piersi. Pobiegła szparko do domu i wróciła za kilka minut. Dermot wziął ją pod rękę i poprowadził.

— Może zostawić uwiadomienie dla ciotki? rzekła zatrzymując się.

— Nietrzeba; wie już o naszem małżeństwie.

Drugi ciężar spadł jéj z piersi. Sybilla znieść nie mogła udawania i tajemnicy. Ale było coś w twarzy Dermota wcale niewesołego. Już rano przy zawieraniu ślubu dostrzegła w nim jakiś smutek obok radości, ale teraz zdawało się jéj, że radość znikła a smutek sam pozostał. Nie śmiejąc zapytać, dokąd idą, szła obok niego zasępiona i zmięszana.

Dermot zwrócił na ścieżkę prowadzącą ku morzu. Gdy stanęli u brzegu, w cieniu skał, zapytał się czy życzy sobie chodzić czy usiąść. Sybilla znużona będąc wybrała ostatnie. Siadł obok niéj i rzekł smutno:

— Niebo mi świadkiem, Sybillo, że kiedy mi przyszła pierwsza myśl proszenia o twoję rękę, nie rachowałem na takie położenie. Nie miałem myśli brania tajemnego ślubu, nie przypuszczałem że nie będę cię mógł poprowadzić zaraz do mego domu. Cóż to za smutny dzień! Chcąc pomówić z tobą, muszę cię prowadzić na to dzikie ustronie, gdzie mewa skrzecząca nad naszą głową pewno nas nie podsłucha. Biedna Sybillo, niech mi Bóg przebaczy! Prawie obawiam się że wymówki ciotki twéj były słuszne i że dziś rano o sobie tylko, nie o tobie myślałem.

— Może, odpowiedziała zadąsana, bo oto nawet trochą szczęścia obdarzyć cię nie mogę; gdyby tak było nie mówiłbyś do mnie w ten sposób.

Łzy stanęły jéj w oczach.

— Trochę szczęścia, powtórzył — trochę szczęścia. O, Sybillo, gdybym tylko mógł każdemu powiedzieć: to moja żona, i poprowadzić cię gdziekolwiek!

— Zrób tak, rzekła Sybilla—mniejsza dokąd, tylko zabierz mnie z sobą.

Słowa te powstrzymują Pawła od fatalnego upadku; zbiera wszystkie siły, by się oprzeć pokusie, by drogą pracy zarobić na wyżywienie żony i dzieci...

* * *

Po zmarłym przed laty kilku *Henryku Rzewuskim*, pisarzu znanym z zacofanych wyobrażeń i niepośledniego talentu, zostały, jak pisze p. *Tadeusz Jerzy Stecki* w Kłosach (N. 356) liczne rękopismy, jako to: *O stosunkach literatury z historyją*, *Uwagi nad Romansem*, *Myśli przelotne Teterowianina*, dziełko o Lamennais'm i *Pamiętniki*, które zapewne wiele ciekawych zawierają szczegółów, gdyż Rzewuski bardzo liczne miał stosunki.

* * *

J. Gordon wydaje we Lwowie pamiętnik swych podróży p. n. *Turysta z musu.*

* * *

Dr. Ksawéry Gałęzowski, syn Seweryna, wydaje od Nowego Roku w Paryżu pierwszy na całą Francyją dziennik okulistyczny: *Journal d' Ophtalmologie.*

* * *

Kraszewski napisał anegdotę dramatyczną w trzech aktach p. t. *„Radziwiłł w gościnie“* która drukuje się podobno w Lwowskiem czasopiśmie *„Świt.“*

* * *

W Kaliszu jak donosi Kur. Warsz. organizuje się towarzystwo opieki nad nieletniemi przestępcami.

* * *

W osadzie Nowe-Miasto nad Pilicą otworzony będzie zakład leczenia wodą. Takiż sam zakład ma być otwarty i w Warszawie.

* * *

W Paryżu nakładem księgarni międzynarodowéj wyszedł z druku poemat heroi-komiczny w dwudziestu pieśniach przez H. S. p. t. *Napoleon* XIII. Jest to satyra wymierzona przeciw błędom politycznym Napoleona III.

* * *

W pierwszych dniach Czerwca War. Towarzystwo Dobroczynności zamierza urządzić podobnie jak lat zeszłych, loteryją fantową w ogrodzie Saskim w połączeniu z zabawą muzykalną i illuminacyją dla zasilenia funduszów Towarzystwa a w szczególności na rzecz Zakładów Sieroti Sal Ochrony. Podając o tem wiadomość, Zarząd uprasza o łaskawe składanie fantów w kancelaryi Towarzystwa, pomiędzy godz. 4-tą a 6-tą po południu.

* * *

P. Walenty Miklaszewski b. prof. b. Sz. Gł. a obecnie prof. Uniw. napisał w języku rossyjskim obszerne dzieło p. t. O sposobach stawienia obwinionego przed sądem i t. d. (Warszawa 1872). W przedmowie tego dzieła czytamy: „Chociaż w naszéj niebogatéj literaturze prawniczéj istnieje już monografija prof. Kistiakowskiego. *O presieczenii obwiniajemomu sposobow ukłaniatsia ot sledstwija i suda* i rozprawa Kesela: *Załog i paruczitelstwo* i t. d. i chociaż prace innych uczonych przyczyniły się do rozjaśnienia tego przedmiotu, niemniéj jednak wydało nam się, że wyczerpujące i systematyczne opracowanie tego ważnego pytania jest koniecznem dla naszéj praktyki i nawet w ogóle dla nauki....”

* * *

Komitet Towarzystwa Osad rolnych i Przytułków Rzemieślniczych nadesłał nam odezwę, którą tu w streszczeniu zamieszczamy: Zatwierdzone w roku zeszłym Towarzystwo osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, z rokiem bieżącym rozpoczęło swoje istnienie. Zadaniem Towarzystwa jest:

„Pracować nad moralną poprawą dzieci płci obojéj, które za występek przez Sądy na karę skazane zostały; tudzież nad polepszeniem losu nieletnich żebraków i wło-

— Dobrze, odpowiedział obejmując ją czule i zapominając trosk swoich.

— I dokąd się udamy?—szepnęła Sybilla. Troska znowu wystąpiła na czoło Dermota.

— Usuńmy się ztąd, rzekła błagalnie—tak żeby więcéj o nas nie słyszano.

— Był czas kiedy można było tak zrobić, odpowiedział z goryczą—teraz potwarz wszędzie pójdzie w ślad za nami. Pozwól mi mówić — mam dużo do powiedzenia, a czas ubiega.

Patrz jaką liniją piany pozostawiła na piasku uchodząca fala. To upływ morza.

— Tak, rzekła Sybilla — i z nią uchodzą krótkie chwile mojego szczęścia — bo mnie porzucasz, wiem o tem.

— Muszę. Myślałem, że będę mógł zostawić cię u panny Glyn, ale zmusiła mnie do wyznania naszego małżeństwa, i nie chce dawać ci więcéj schronienia jako żonie zniesławiogo człowieka. Jechać muszę;] nie myśl jednak dodał z dumnym uśmiechem,—że jak tchórz uciekam przed panią Kennedy. Czynię to tylko dla zadania jéj porażki. Ona to podała list do panny Glyn, ażeby nie dopuścić naszego połączenia.—niech myśli że dopięła celu, że jestem pokonany. Twój ojciec i ja zastawiliśmy pułapkę któréj nie uniknie. Jadę odegrać swoją rolę.

— Czy ojciec mój wie o jej postępku? zapytała Sybilla.

— Podejrzywa tylko—nie mam potrzeby oskarżać jej. Zaślepiona kobieta nie wie, że moje niebezpieczeństwo jest jego niebezpiestwem, że jeżeli upadnę to i ona zemną—a on wolałby umrzeć niż jéj zaufać. I ma słuszność.

Sybilla zbladła.

— W jaki sposób Smith zakończył życie? zapytała.

— Wiem o tém tyle co i ty—ale ani na chwilę nie podejrzewam twego ojca.

— Ach! byłeś więc wspaniałomyślnym zawołała.

— Nie — odpowiedział spokojnie tylko gdy na mnie spadło podejrzenie, nie zrzucałem go na kogo innego. To tylko uczyniłem. Zapomnij o tem wszystkiem Sybillo. Na co mamy dziś mówić o tak smutnych rzeczach. Tylko jeżeli mnie kochasz, jeżeli kochasz twojego ojca, bądź rozważną podczas mojej niebytności.

— Będę rozważną—rzekła Sybilla z uczuciem,—nic się ona odemnie nie dowie, a gdy wrócisz będziemy szczęśliwi.

Dermot słuchał jej z uśmiechem i oddał się słodkiej illuzyi. Dozwolił jej mówić o błogiej przyszłości, która wydawała jej się zupełnie pewną. Zapomniał o konieczności rozdziału za kilka godzin, a cieszył się obecną chwilą. Dzień był piękny i cichy, fale igrały u brzegu, Sybilla siedząc obok, często ku niemu zwracała twarz rozpromienioną—więc i on mimo trosk skrywanych, rozjaśnił czoło, i zapomniał o nich prawie.

— Niech słońce zabłyśnie na jej dzień ślubu — myślał sobie — chmury i tak niedługo przyjdą.

I jeżeli przyrzeczenia i czułe pieszczoty mogły utwierdzić zaufanie Sybilli do przyszłości, to ich niebrakowało. Tylko właśnie te zapowiedzi szczęścia którego może nigdy nieosiągnie, stały się Dermotowi bólem nie do wytrzymania. Całe jego męzkie postanowienie upadało, gdy słuchał gwaru ukochanej dziewczyny o ich dawnéj przyjaźni i o przyszłej miłości, której tak pewna była.

— Zdaje się, że czas wrócić—rzekł wstając. Patrz oto upływ morza już się skończył.

— Wszak wejdziemy razem zapytała.

— Nie, lepiej osobno.

Szli więc razem jeszcze przez czas jakiś, poczem odstąpił od niej z uśmiechem.

— Ale zobaczymy się jeszcze nim opuścisz Saint Vincent?

Rozśmiał się i nieodpowiadając szedł w inną stronę. Sybilla spoglądała za nim dopóki nie zniknął, miała ochotę przywołać go, bo przyszła jej myśl do głowy, że może go już nieujrzy przed wyjazdem.

Przeczucie to spełniło się. W dniu tym nie ujrzała już Sybilla swego małżonka, a gdy nazajutrz wstała, znalazła skrawek papieru przez drzwi przesunięty ze słowami: „Bądź zdrowa! Niech cię Bóg błogosławi!"

— A gdyby to było na zawsze! — pomyślała Sybilla i zimny dreszcz ją przeniknął.

ROZDZIAŁ XX.

Nigdy w późniejszem życiu Sybilli, nie wydarzyła się epoka tak do sennego bytu podobna, jak ta która teraz nastąpiła, bo nigdy świat otaczający ją tak mało dla niej nie stanowił, w porównaniu z innym światem jej myśli. A był to świat posępny, zaludniony widmami, złemi przepowiedniami zaciemniony. Ciągle jej pamięć przywodziła tragiczny skon Smitha, ciągle smutek ją ogarniał na wspomnienie cieniu, jaki zgon ten rzucał na życie jej męża. O! czy zdoła oczyścić kiedy swój honor w obec świata?

Czy odzyska kiedy względy owej wyniosłej Królowej, *opinii*? Nadzieja i obawa naprzemian opanowywały jej duszę, miotały nią coraz mocniej im bardziej przedłużała się nieobecność jej męża. Widoczne dla każdego jej bladość i zamyślenie, odgadywano w ten sposób, że panna Kennedy zakochała się w panu Dermocie, który w ostatniej chwili inaczej się namyślił i porzucił swoje względem niej zamiary. Tak przynajmniej sądzili przyjaciele i goście pani Kennedy, gdy na balach i sutych obiadach, w których Sybilla brać udział była zmuszoną, widzieli ją bladą i smętną, jak widmo z innego świata.

Właśnie dwa tygodnie upłynęło od wyjazdu Dermota, gdy u pani Kennedy było zwykłe tygodniowe przyjęcie. Gośćmi byli pani Ronald i kilka innych osób z jej sfery. Pani Ronald która dotąd nie robiła żadnych pytań względem Sybilli, teraz przerwała milczenie i rzekła do pani Kennedy tonem nader przyjacielskim i poufnym:

— Droga pani, co jest pannie Kennedy?

Blanka westchnęła i rzuciła wzrokiem współczucia macierzyńskiej czułości na Sybillę, siedzącą na drugim końcu stołu.

— Kapryśne to biedne dziecko—odpowiedziała—trudno z nią dojść ładu.

— Kochana pani — rzekła pani Ronald— i ja wyszłam za wdowca który miał dorosłe córki, dobre dzieci, ale bardzo uporne—rozumiem położenie pani.

Pani Kennedy słodko się uśmiechnęła i na tem skończyła się rozmowa. Ale pani Mush zauważyła ich rozmowę i po wiecierzy pociągnęła Sybillę do ogrodu.

— Moje dziecko,—rzekła—odjeżdżam jutro rano.

— Jutro rano? przerwała Sybilla. Wiedziała o tem ale zapomniała, bo zapominała teraz o wszystkiem.

— Tak, pokazuje się, że Saint Vincent nie może być dla mnie dłuższym przytułkiem. Kiedy twój ojciec mnie potrzebuje, posyła

---

częgów." W tym celu wskazane ma Towarzystwo Ustawą dwa środki działania, a mianowicie:

1. Zakładanie osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, w których nieletni, czyli to znajdujący się już u podwojów więzień, czyli też w skutek próżniactwo życia, będący nad przepaścią występku lub nędzy, mają być na drogę cnotliwego prowadzenia się i uczciwego zarobkowania skierowani.

2. Wyszukiwanie odpowiedniego pomieszczenia dla wychowańców wychodzących z osad Towarzystwa i udzielanie im w przyszłym zawodzie pomocy i opieki.

Towarzystwo składa się z Członków założycieli i Członków honorowych.

Pierwszych liczba nateraz ustawą ograniczona do 20-u jest już uzupełnioną; ilość zaś członków honorowych, wnoszących rocznie składki stałéj rubli sześć, jest nieograniczoną.

Do chwili obecnéj cyfra zapisanych dochodzi zaledwie pięciuset, co zaiste stosunkowo do liczby zamożniejszych w Królestwie mieszkańców, jest cyfrą zbyt mało znaczącą, i która pomyślnego i skutecznego rozwoju działań Towarzystwa dostatecznie jeszcze nie zapewnia. Komitet przeto czuje się w obowiązku odwołać się do wszystkich osób obojéj płci i wszelkich wyznań, którym dobro ogólne leży na sercu — którym wreszcie nie może być obojętną Instytucyja, przyczyniająca się do pomyślności naszego społeczeństwa, a którym nakoniec składka roczna rubli sześć, na cel tak szlachetny uciążliwą nie będzie, aby raczyli pospieszyć z przyjęciem udziału w Towarzystwie osad rolnych i przytułków rzemieślniczych w charakterze członków jego honorowych i aby wnoszeniem regularnem rocznéj, powyżéj oznaczonéj składki do Kassy Towarzystwa, przyłożyli rękę do spełnienia jego zadania. Lecz nie dosyć na tem.

Zamierzone urządzenie pierwszéj modelowéj osady dla nieletnich przestępców wymaga różnych jednorazowych ofiar, a mianowicie: 1. Nieodzowną jest dla Towarzystwa pewna przestrzeń gruntów, o ileby można około morgów 300 wynosząca, a w bliskości Warszawy, koło jednéj z dróg żelaznych położona, którąby to przestrzeń odstąpioną być mogła na dogodnych warunkach, czyli to na własność Towarzystwa, czyli też tytułem wieczystéj dzierżawy. Zwraca się uwagę skłonnych do podobnéj ofiary Właścicieli dóbr Ziemskich, że po zupełnem urządzeniu z czasem osady, w któréj projektowanem jest pomieszczenie od stu do dwustu nieletnich, praca ich zbywająca od miejscowego gospodarstwa będzie mogła przez czas robót polnych być odnajmowaną w sąsiedniéj okolicy.

2. Potrzeba jest Towarzystwu jednorazowych pieniężnych ofiar na odpowiednie téj osady urządzenie, które według przygotowanych obliczeń wymagać będzie znakomitych funduszów, o wiele przechodzących dotychczasowe Towarzystwa zasoby; roczne bowiem składki od członków honorowych należne i opłaty przez Rząd uiszczać się mające za utrzymanie nieletnich przestępców, przeważnie obracane być muszą w przyszłości na zaspakajanie bieżących wydatków Towarzystwa, osadami jego spowodowanych.

Komitet Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych pełen jest otuchy, że odezwa niniejsza wywoła w publiczności ogólne poparcie jego usiłowań. Albowiem tym tylko sposobem Towarzystwo nasze w ślad za tylu innemi, które go w innych krajach wyprzedziły w pracy około nieletnich, pogrążonych w zepsuciu i nędzy, może działalność swoję szybko i skutecznie rozwinąć.

Pragnący przyjętym być na Członka, raczy zawiadomić Komitet Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, którego bióro mieści się w domu Nr. 1066 lit. *o*, przy ulicy Królewskiéj i po wygłoszeniu go przez pisma złożyć bezzwłocznie składkę roczną w Kassie Banku Handlowego, gdzie także wszelkie ofiary chociażby najdrobniejsze, są na rzecz Towarzystwa przyjmowane.

Osoby skłonne do udzielenia gruntu na osa-

po mnie; a gdy minie potrzeba, to się mnie pozbywa.

— Kochana pani Mush, jeżeli kiedy Saint Vincent do mnie będzie należało, będziesz w niem zawsze miłe znajdowała przyjęcie— rzekła Sybilla serdecznie.

— Dziękuję ci moje dziecię, ale pani Kennedy dobrze się tu rozgospodarowała i nie tak prędko stąd wyjdzie. Bądź co bądź, jutro odjeżdżam, i muszę cię ostrzedz, że pani Ronald i jej klika mają oko na ciebie. Nie ulegaj im i nie pokazuj co czujesz, a jeżeli on wróci, bądź ostrożna. On jest dobry i zacny człowiek, ale muszą być jakieś przyczyny, dla których się nie może żenić. *(D. c. n.)*

O NAUCZANIU POCZĄTKOWEM.

(Dokończenie.)

Kończąc te kilka uwag, objaśnić przedewszystkiem czytelnika winienem, że skreślony tu w ogólnych zarysach systemat początkowego nauczania nie jest zupełnie moim wymysłem,—z małemi tu i owdzie różnicami w szczegółach jest on wszędzie przyjęty, bo rzeczywiście jest on jedynie zgodny z naturą ludzką i z celem, do którego człowiek jest przeznaczonym.

Rutyniczna nauka książkowa, oparta na mechanizmie i jednostronnem a pozornem kształceniu pamięci, cechowały panujący niegdyś systemat nauczania, scholastycznym zwany, dziś on już zewsząd wygnany tylko w naszem domowem wychowaniu znalazł jeszcze przytułek, a odarty z pewnej systematyczności, w którą był wówczas ujęty, łącznie z rozmaitemi dodatkami i przymieszkami nowszych czasów, doprowadzony ostatecznie został do *absurdum.*

Że się tak stało, przypisać to należy naszemu nieuctwu z jednej, a zarozumiałości z drugiej strony. U nas rodzice i wychowawcy mają się za genijalnych pedagogów—tak sobie—z intuicyi tworzą a właściwiej mówiąc, zabawiają się tylko rozprawianiem o rozmaitych niby systematach wychowania, zapominając o tem, że o tyle o ile konsekwentny systemat, może wysnuć z siebie samego tylko umysł wszechstronnie wykształcony, filozoficzny, wyższą twórczością obdarzony, a i ten łatwo jeszcze popaść może w jednostronność, czego przykłady łatwo znaleźć można w każdej historyi pedagogiki. Nie wolno więc prawdziwie ukształconym rodzicom poprzestawać na swojem widzimisię w tym względzie, ale w poważnych pracach myślicieli szukać rad i wskazówek, do przeprowadzenia wielkiego dzieła: *wziąć udział w rozwinięciu człowieka.* Gdyby tak patrzyli na rzeczy rodzice, gdyby zechcieli dobrze przeczytać choćby instrukcyję, którą sto lat blisko temu napisał X. Piramowicz dla nauczycieli elementarnych, a którą bez przesady nazwać można skarbnicą zdrowych pedagogicznych przepisów, już ztamtąd tyleby się dowiedzieli, że z pewnością nie pozwoliliby ani samym sobie, ani guwernerom w tak przeciwny naturze dziecięcej sposób prowadzić początkowe nauczanie. Wypisuję kilka luźnych wyjątków z rzeczonej instrukcyi dla przekonania, jak wówczas na te rzeczy patrzano: „Niedosyć jest, aby nauczyciel umiał nauki, które podawać podjął się przez swój urząd, ale nadto, powinien podjąć całą ich treść, wiedzieć ich użycie i cel i być sposobnym uczyć onych." „Nie na samych gadaniach, czytaniach, naznaczaniu i odmawianiu jak mówią pensów, całą naukę ma zasadzać. Niech mu to będzie ogólnem a najważniejczem prawidłem, że ta tylko nauką przyda się człowiekowi, którą na rozum jaśnie i gruntownie pojął, którą sam z sobą zważył, której użycie i przystosowanie widzi." „Jest także wielkiej wagi dla wszystkich nauczycieli choćby najwyższych umiejętności, aby dzieci zrazu przez zmysły i doświadczenia własne nabierały poznania rzeczy; a gdy się z wiekiem rozum wzmoże, dopiero przychodziły uwagi, racyje, wywody." „Uczyni naukę miłą dzieciom nauczyciel, naprzód mówiąc z niemi z łatwością i pomiarkowaniem i niby pospolitą rozmowę prowadzac,.... trzeba ciekawość w uczniach z rozstropnem umiarkowaniem zaostrzać,.. naostatek niedługo się im naprzykrzać, rozrywek i zabawek pozwalać." „Pisanie wraz z czytaniem iść może i pożytecznie pójdzie,.. mogą dzieci acz niezgrabne zrazu kreślić znaki i postaci do pisania, łatwiej i prędzej się wprawią w poznanie ich."

Pozostaje nam jeszcze pomówić o tem, kto ma tę naukę z dzieckiem prowadzić. Z powyżej podanego opisu widać, że nie może być ona odmierzaną na godziny lub półgodziny —można mniej więcej przyjąć pewne oznaczone pory dnia—ale w wielu względach nauczanie powinno także powstawać przy zdarzonej sposobności, i dla tego najlepiej jest, gdy je prowadzi osoba i po za czasem naukowym [1]) z dzieckiem przestająca,—nadto dzieci nie zawsze mogą się uczyć, przy najlżejszym stanie chorobliwym, władze ich umysłowe tak w ogólności tępieją, że nauczania albo zupełnie zaniechać, albo przynajmniej znacznie je zmodyfikować należy.

Ludzie bogaci użyć mogą do początkowego nauczania specyjalnie wykształconych guwernerów lub guwernantek—ale dla ludzi mniej zamożnych, którzy zazwyczaj dziecię swoje powierzają uczniowi gimnazyjanemu, bo ten na małem wynagrodzeniu poprzestaje, —dla takich jedna tylko jest droga, może trochę dla rodziców uciążliwa, ale za to bezwzględnie można powiedzieć najlepsza: nauczanie przynajmniej do skończonych lat dziewięciu lub dziesięciu, prowadzić powinni samiż rodzice a głównie matka. Kobiecie nawet, tem bardziej matce łatwiej nauczać małe dzieci jak mężczyznie, łatwiej jej bowiem zniżyć się do poziomu dziecęcego umysłu, mając w znacznej części od natury dane to, co mężczyzna musi w sobie sztuką wyrabiać. Dla tego w Ameryce w *publicznych* szkołach elementarnych jest kilkakroć więcej nauczycielek jak nauczycieli, a w ostatnich czasach i w Europie (szczególniej we Włoszech północnych) kobiety zwróciły się do początkowego nauczania. Matka więc nauczać dzieci może, a gdy nie stać na dobrego nauczyciela lub nauczycielkę, powinna: *to jej obowiązek.* Zrzucić z siebie ten ciężar, powierzając dziecię w nieudolne ręce, aby

[1]) Co do liczby godzin, które z dzieckiem na nauczanie poświęcić można—to w ogólności powinna być ona bardzo małą. Dziecię zdrowe a dochodzące do lat dziesięciu nie powinno pracować umysłowo więcej nad trzy godziny na dobę, wliczając tu i czas użyty na odrabianie pewnych małych zadań w nieobecności uczącego—jednym ciągiem nigdy dłużej jak godzinę zajęcie trwać nie może, i wtedy należy brać dwa różne przedmioty, i przedzielać je kilkominutową przerwą. Nie należy sądzić, aby dziecię żywego témperamentu, bystre, miało dłużej pracować—raczéj przeciwnie, powinno ono być mniej zajęte jak dziecię ociężalsze, leniwiej i powolniej myślące, w którem jednak ta ociężałość nie dochodzi rozmiarów choroby.

---

dę, lub pragnące zasilić Towarzystwo jakową ofiarą pieniężną, raczą piśmiennie o tem powiadomić Komitet, pod adresem powyżéj wskazanym.

Nakoniec, dla wiadomości osób pragnących ustnie rozmówić się bliżéj co do warunków, pod jakiemiby grunta mianowicie udzielić były chętne, objaśnia się, że zgłosić się mogą albo do Członka Komitetu Księcia Tadeusza Lubomirskiego, albo téż do zarządzającego interesami Towarzystwa, p. Ludwika Kolnarskiego, (ulica Elektoralna Nr. 41), albo nakoniec do pomocnika Zarządzającego, członka Komitetu, p. Aleksandra Moldenhawera, (ulica róg Franciszkańskiéj i Nowego-Miasta Nr. 1). Prezes *J. Mianowski.*

Zamieszczając powyższą odezwę, zdaje się, iż nie potrzebujemy dodawać słów zachęty do poparcia téj instytucyi, któréj pożytek widocznym jest dla wszystkich ludzi dobréj woli. Ze swej strony nadmieniamy, iż członek Komitetu redakcyjnego naszego pisma, p. Jan Maurycy Kamiński, Mag. Pr. i Adm. przygotował odczyt publiczny: *O nieletnich przestępcach* i przeznaczy całkowity dochód z takowego na korzyść wzmiankowanego Towarzystwa.

* * *

Czwarty z kolei odczyt dla subjektów handlowych W. M. miał p. Mścisław Godlewski Mag. Praw. „*O społecznem znaczeniu handlu.*" Wykazawszy że pojęcie handlu nie różni się w zasadzie od pojęcia przemysłu, prelegent przystąpił do rozpoznania korzyści, jakie istnienie i rozwój handlu przynoszą społeczeństwu. Ponieważ potrzeby tego ostatniego dają się podzielić na trzy grupy a mianowicie: *ekonomiczne, umysłowe i towarzyskie,* przeto kolejno wykazywał doniosłość handlu dla każdéj z nich. Pod względem ekonomicznym, handel będąc pośrednikiem pomiędzy producentami a konsumentami, zaspokaja potrzeby nasze w sposób tak dogodny, na jaki bez owego pośrednictwa, żaden pojedyńczy człowiek zdobyćby się nie mógł. Jest on w tym względzie zastosowaniem rozległego prawa podziału pracy społecznéj, na którem opiera się jéj rozwój i postęp. Handel niewątpliwie przyczynia się do ogólnego dobrobytu, zwłaszcza gdy rozwoju jego niekrępująbezzasadne ograniczenia a temsamem pośrednio wpływa i na rozwój cywilizacyi, nauk i sztuk, historya bowiem uczy nas, iż tam tylko mogły kwitnąć nauki i sztuki, gdzie był dobrobyt materyalny. Handel jest jednem z ogniw wiążących ludzi i narody, on to pierwszy pod postacią osad handlowych, zawładnął Ameryką i Indyjami odgrywając niejako rolę pijoniera cywilizacyi. Ze względu na umysłowe potrzeby społeczeństwa, handel oddaje niezmierne usługi pracownikom na polu nauki i sztuki — warunkując niemal całkowicie możność naukowych studyjów i krzewienia się oświaty. Ze względów nareszcie towarzyskich, łączy ludzi we wspólnym interesie, wpływając dobroczynnie na sprawy społeczne, wiadomo bowiem, że handel przedewszystkiem domaga się *pokoju* i dobrodziejstwa jego na całą ludzkość rozszerza. Wykazawszy różnostronne korzyści handlu w sposób jasny i z całą systematyczną ścisłością, prelegent zakończył pożyteczny swój odczyt wezwaniem do powszechnéj pracy, która w najdrobniejszych swych przejawach budzić winna szacunek i uznanie.

Gorący poklask licznie zebranych słuchaczów, dowiódł, iż myśli jego trafiły do przekonania obecnych.

* *

W środę 20 maja na scenie naszéj przedstawiono dawno zapowiedzianą i gorąco oczekiwaną *Maryją Stuart — Słowackiego.* Utwór ten jak wiadomo jest tylko jednym epizodem z życia sławnéj królowéj Szkockiéj. Maryja jako żona Darnleja panującego wraz z nią pod imieniem Henryka, trzyma przy sobie zakochanego w niéj młodego Włocha — Rizzia. Stosunek ten oburza naród, oburza dwór

tylko z czasem można je było wepchnąć do jakiejś klassy gimnazyjalnej, i w krytycznych chwilach wypraszać promocyje; to może jest dosyć dla opinii znajomych, którzy nie mogą zarzucić, że edukacyja jest zaniedbaną, ale dla samegoż dziecka i dla własnego sumienia za mało.

Wprawdzie kobiety odbierały u nas bardzo powierzchowne wykształcenie, w wielu kierunkach nie posiadają nawet tych wiadomości, które w początkowem nauczaniu są potrzebne, ale niedostatkowi temu łatwo zaradzić; dość jest, zamiast kupować książki elementarne dla dzieci, kupić je dla siebie— a odłożywszy na później kilka ostatnio wyszłych powieści, szczerze się niemi zająć. Prawda, że czytać taką książkę i to tak czytać, aby się nauczyć, a więc inaczej jak się czyta jakiś niby poważny artykulik dziennikarski, nie jest to rzecz zabawna—ale tylko nie zabawna, a tu z drugiej strony stoi sumienie i miłość macierzyńska. Trudności zrozumienia takiej książki dla kobiety dojrzałej, choćby ona była jak najmniej naukowo wykształconą, być nie może, a gdyby je nawet spotkała, łatwo będzie znaleźć kogoś, co w tym względzie dopomoże. Co do sposobu nauczanie to, kto dobrze zrozumieć zechce, że nauczanie początkowe nie powinno być oderwane od życia potocznego i na książce oparte, ale w to życie zręcznie wplecione, dość upodobnione—że wypowiedzenie faktu naukowego, jeżeli dziecię tego faktu nie widzi i nie rozumie, jest tylko frazesem w jego ustach, że od spostrzeżeń rzecz zacząć, na wypowiedzeniu skończyć należy, że lepiej jest posuwać się naprzód za wolno jak za prędko, lepiej zajmować się rzeczami zbyt łatwemi, jak zbyt trudnemi, kto to dobrze zrozumie, niech wejdzie na tę drogę nauczania, a doświadczenie będzie mu wciąż nowych udzielać wskazówek. Będzie się nieraz fałszywe stawiało kroki, ale to się da naprawić, zawsze się dojdzie do celu będąc na dobrej drodze, wtedy gdy dziś w nauczaniu chodzą po manowcach, — a przytem samo życie, to najlepsza szkoła, także nie raz -źle uczy, łudząc nas fałszywemi pozorami, lub nie zrozumiałemi mówiąc do nas zjawiskami.

Nie wolno nauczycielowi szkoły elementarnej popełniać zbyt rażących błędów; nauczanie zbiorowe powinno być z doskonałą sztuką prowadzone; gdy się naucza jedno lub dwoje dzieci, przy ciągłem z temi dziećmi obcowaniu błędy mniej szkodzą, jeżeli się je spostrzega. Spostrzedz zaś, że się błąd popełniło można bardzo łatwo, ostrzega o nim złe zrozumienie rzeczy w dziecku; —gdy to uczący spostrzeże, niech się zachowa tak, jakby tej lekcyi (rozmowy) zupełnie nie było — dziecię nie zrozumiało i prędko zapomni—powie mu się to kiedyś inaczej.

Niech jednak czytelnik nie bierze tego za obronę błędów—im ich mniej, tem lepiej,— com tu powiedział, miało to tylko na celu, aby obawa tych błędów, przy niemożności nabycia gruntowniejszych w tym względzie wiadomości, nie wstrzymywała kogoś od rozpoczęcia nauczania w ten sposób. Zawsze trzeba mieć to na uwadze, że będą to błędy w szczegółach, ale nauczanie z książki jest stanowczym błędem w zasadzie—z dwojga złego wybierzmy więc mniejsze.

BIBLJOTECZKA DOMOWA.

Wiązanka na rok 1872, *zawierająca powiastki, wiersze i opowiadania dla młodego wieku, zebrana przez Jana Chęcińskiego.*

Pan Chęciński postarał się w tym roku, aby „Wiązanka” przedewszystkiem imponowała.... objętością i liczbą. Są tam trzy powiastki, jedna komedyjka, dwie legendy ludowe, dwa artykuły przyrodnicze, dwa historyczne i *jedenaście* poezyj.

Powiastki noszą przedewszystkiem na sobie cechę.... dobrych chęci, ale podobno niewiele więcej mogą dodać na swoję obronę, chorując na rozpaczliwą pospolitość. Wielkąby np. przysługę zrobił wydawca ś. p. F. S. Dmochowskiemu, nie podpisując nazwiska pod „Bohaterstwem córki”, które pomimo treści dosyć pięknej nie może się poszczycić ani językiem, ani chociażby maleńką dozą stosownego opracowania artystycznego, z czego nie możemy zwolnić autorów dla dzieci piszących. Jakto? więc dziatwę, dla tego tylko że jest dziatwą, można karmić komunałami, blademi bezbarwnemi gawędami? Owszem, umysł młodociany daleko bardziej może jak dojrzały potrzebuje, aby mu wydarzenia rysowały się z całą pociągającą siłą złudzenia prawdy, aby przemawiały do niego żywym, szczerym i naturalnym głosem, a nie mdłą paplaniną. To samo prawie w zupełności da się zastosować do „Żanety” i „Mogiły babuni” dwóch powiastek p. Emilii Lei, które chociaż czasami zdobędą się tu i owdzie na smaczniej wypowiedziane ustępy, trącą za to nieraz zbyt przesadną, chorobliwą moralizacyją. Pierwsza szczególniej podnosi zarzucenie jakiejś starej książki do nabożeństwa do wysokości bardzo ciężkiej winy; w ogóle jednak główna jej dążność, zalecająca skromność, prostotę życia i ubrania, jest wcale na miejscu. Ale najwznioślejszą myślą wśród całej czeredy swych sąsiadów bije: „Posag pracy” morał dramatyczny w jednym akcie, p. Driou, tłumaczony z francuskiego, wielkim głosem wołający: „panny! pracujcie, uczcie się, szczególniej nauk przyrodzonych, bo za to dostaniecie *bogatego męża!* Nauka więc dla kobiet nie przedstawiona tutaj jako poważna dźwignia charakteru, jako konieczne zabezpieczenie losu w przyszłości... ale jako... przynęta dla konkurentów. Wątpimy, aby rzecz podobną warto zrobić przedmiotem „*studyj*” (zam. *studyjów*) naszych panienek, aby można „*wpadać w zachwycenie przed jéj*” genialnym pomysłem, mówiąc *poprawnym* językiem tłumacza.

Zwracając się teraz do klechd ludowych, wyznać musimy, że chociaż karmienie czytelników młodocianych podobnemi bajdami nie uważamy za pożądane, jednak, obie one najbardziej zajmująco czytają się z całej książki, szczególniej dla żywości, humoru i prawdziwej werwy opowiadania. To samo prawie można powiedzieć o artykule: „Ptaki” pomimo nadto ogólnikowego tytułu, podającym rzeczywiście kilkanaście ciekawych i nauczających obrazków z życia tych powietrznych mieszkańców. Druga podobna praca „O balonach”, wypowiedziana jasno, przystępnie, chociaż już mniej zajmująco, bez uwzględnienia najnowszych ciekawych faktów i wynalazków na polu aeronautyki.

Z artykułów historycznych: „Podania o Warszawie i Pradze”, powtarzają rzeczy znane i przerażająco nudne, a „Kawalerowie Maltańscy” przez p. Edwarda Lubowskiego, odznaczają się wcale umiejętnem obrobieniem. Może wolelibyśmy wybór innnego jakiego faktu z historyi, jak dzieje bezcelowego istnienia rycerskiego zakonu, po ustaniu wojen krzyżowych. Bohaterskie jego walki,

---

cały i rozniecą ogień zemsty nawet w miękkiem sercu nieszczęśliwego lecz niedołężnego króla. Jeden wszakże tylko Duglas, dworzanin i potomek znakomitego rodu, ma odwagę wypowiedzieć jawnie królowéj swe oburzenie. Wkrótce jednak wydarzyła się sposobność która i innych pobudziła do działania i przygotowała krwawy wybuch tajonych nienawiści. Gdy Maryja bowiem na wyroku karnym nie chciała zamieścić podpisu męża, nadto gdy Rizzio w jéj obecności obraził Duglasa, ten ostatni wyzwał Włocha, którego znowu król postanowił zabić potajemnie. Ostrzeżona o niebezpieczeństwie Maryja, każe natychmiast Rizziowi odjechać na okręcie, zwiewolona jednak prośbami pozwala mu jeszcze pozostać skrycie do dnia następnego. Z przypadkowo przejętego listu, król i Duglas, dowiadują się o oszukaństwie. Obaj wchodzą w nocy do zamku i tam Rizzio ginie pod sztyletem Duglasa w obec królowéj. Ta krwawa scena zapala w sercu Maryi płomień nienawiści. Już wtedy zaczęła kochać Botwela — w jego ręce więc po długich wahaniach i walkach wewnętrznych składa swą zemstę. Szatański Botwel daje jéj truciznę, ażeby fałszywemi pieszczotami skłoniła chorego Darnleja do wypicia zabójczych kropli. Wierny jak pies błazen królewski Nik odgaduje z pomięszanéj twarzy Maryi zbrodnicze zamiary, ostrzega króla a gdy ten uparcie odtrąca wszelką myśl podejrzenia—przywiązany sługa poświęca się dla swego pana, wypija truciznę i umiera. Dopiéro wtedy poznał Henryk jak strasznego uniknął niebezpieczeństwa. Wkrótce jednak czekało go inne—okropniejsze. Botwel za pomocą min podłożonych pod wiejski domek króla, wysadził go w powietrze. Odtąd Maryję wspólność zbrodni związała z zabójcą.

Taka jest w ogólnych rysach treść dramatu Słowackiego. Dramat ten nie tyle w swéj osnowie ile raczéj w postaciach zawiera znaczne odstępstwa historyczne. Uwagi téj jednak nie stawiamy bynajmniéj w charakterze zarzutu. Mamy bowiem to przekonanie że *historyczność* w utworach belletrystyki nigdy ściśląbyć nie może. Zdrowa logika, prosta znajomość granie możliwości, doprowadzi koniecznie do tego wniosku, że największe wysiłki najznakomitszych umysłów, mogą tylko *zbliżyć się* do charakteru historycznego, że tak powiemy, podrobić rysy przeszłości. Wszelkie zarzuty jakie możnaby zrobić pojedynczym charakterom i artystycznéj całości dramatu giną w masie prześlicznych szczegółów. Mistrzowstwo języka, głębokość myśli, dramatyczność pojedyńczych scen, wytworność ich budowy — wszystko to składa obraz wspaniałych barw i widoków. Dodać tu również należy że wielki Juljusz, któremu tak trudno chodzić po ziemi, w *Maryi Stuart* jest dosyć realnym. Wprawdzie jego poetyczna natura nakładała na wszystko lekką warstwę idealnego pokostu, a więc i na tło dramatu o którym mówimy, mimo to prawda rzeczywistości przestrzegana tu ściśléj aniżeli w *Lilli Wenedzie*, *Balladynie*, i t. d. Pod tym względem stoi tylko wyżéj jego *Mazepa*. Aktorzy biorący udział w przedstawieniu nie wszyscy jednakowo dopomagali sztuce. P. *Wolski* pierwszy raz u nas występujący, wywołał jednak bardzo przyjemne wrażenie. Postawa kształtna i piękna, głos miły choć często jeszcze potykający się, twarz wyrazista, ruchy śmiałe choć niekiedy za szorstkie— całość zaś gry bardzo sympatyczna. P. Królikowski i p. Modrzejewska doszli w rolach swoich do szczytu artyzmu. Inni artyści dopomagali jak mogli. Jeden tylko p. Swieszewski widocznie nie mógł podołać trudnéj roli Botwela. W ogóle jednak przy wybornie pojętéj i znakomicie wykonanéj roli Nika (p. Królikowski), przy świetnie odegranéj roli Maryi (p. Modrzejewska)—całość dramatu obudziła głębokie zadowolenie w umysłach zebranych słuchaczów. Wielki nasz Juljusz odniósł tym razem stanowczy tryumf nad równie wielkim poetą, również twórcą „Maryi Stuart“—Szyllerem.

---

dają rzeczywiście piękne, nieraz nawet wzniosłe przykłady, męztwa, energii i wytrwałości, ale z drugiéj strony, łupiestwa, rabunki, nieuprawniona zdobywczość w imieniu wiary dokonywana, wszystkie te wady barbarzyńskiéj epoki, odbijają się w opowiadaniu, nacechowanem objektywnym spokojem. Mamy za złe autorowi, że nie położył na nich wybitnie potępiającego nacisku, chociaż z drugiéj strony przyznać należy, że p. L. dalekim jest od nierozumnéj, chorobliwéj egzaltacyi, z jaką zwykle traktuje się w opowieściach dla dzieci chrześcijańskich rycerska epoka wojen krzyżowych, będąca bądź co bądź w zasadzie swojéj jednym ze smutniejszych epizodów historyi.

Pomiędzy poezyjkami, któremi tak obficie przetykano „Wiązankę"—utwory p. Julii Chęcińskiéj, wyglądają jak bardzo młodziutkie, roztkliwione, rozmodlone sentymentalnie pisklęta, które zawcześnie na świat Boży wypuszczono z rodzicielskiego gniazdka; kilka wierszyków p. Emilii Lei, pomimo pospolitości, czytają się jako tako, dla dźwięcznéj *rytmiki*, trochę jednak nadto często gwałconéj w sposób wcale nie harmonizujący z muzykalnym nastrojem całości. Najudatniejsze są wierszyki: „Szczygiełek" p. Pauliny Kraków i „Kochaj dziecino!" p. Stanisławy K.; oba wdzięczne, proste i rzewne. Piękną formą, ale tylko formą odznacza się poezyjka „Dziecię i gwiazda" M. Ilnickiéj. W ogóle całość książeczki zdradza w układzie pośpiech i brak wyboru. Dziwimy się, że p. Chęciński, który naszéj literaturze dziecinnéj parę rzeczywistych klejnocików przysporzył swemi oryginalnemi wierszami, tak mało dał tu od siebie i tak mało był wybrednym. Z powodu braku zrozumienia potrzeb dziecięcych, autorowie przepełnili *po większéj części* książeczkę zbyt delikatną, miękką, rozmarzoną uczuciowością, chorobliwym idealizmem, który nigdy istotnie żywotnéj treści nie daje, a pozbawiony bystrych skrzydeł talentu, płodzi utwory ze smakiem.... letniéj wody. *J. K. K.*

H. G. Ollendorff'a Teoretyczno-praktyczna metoda nauczenia się czytać, pisać i mówić po francuzku w sześciu miesiącach. Dzieło zupełnie nowe podług oryginalnej edycyi przerobione i do użytku polaków zastosowane przez *Bernarda Lesmana*. Drugie wydanie poprawione.—Warszawa, nakładem księgarni wydawcy—1872 r.

Nauczenie się któregokolwiek z języków nowożytnych osiąga się w najłatwiejszy dla ucznia sposób przez ustną konwersacyję; ale metoda ta przedstawia pewne niedogodności, potrzebując z saméj swéj natury ciągłéj pomocy uczącego, a nadto zużywając wiele czasu prawie bez względu na umysłowe rozwinięcie uczącego się, który bądź co bądź postępować tu musi drogą czysto mechaniczną. Z drugiéj strony uczenie się języka za pomocą teoretycznych grammatyk także z trudnością prowadzi do celu, nie daje bowiem należytéj wprawy mechanicznéj, a suchością nagromadzonych prawideł zniechęca i odstręcza wielu. Niedogodnościom tym starają się zaradzić nowe metody polegające na połączeniu praktyki i teoryi i ograniczeniu pomocy nauczyciela, co dla wielu osób ma jak wiadomo bardzo wielkie znaczenie. Ci mianowicie którzy mniéj przywiązują wagi do czystości akcentu, a chcą poznać język obcy dla użytku praktycznego lub potrzeb naukowych, znajdują w pracach tego rodzaju znakomite ułatwienie, ci zaś którzy uczą się z pomocą nauczyciela, w każdym razie zyskują na czasie i gruntowności. Z pomiędzy wielu metod opierających się na téj przewodniéj myśli metoda Olendorffa należy bez zaprzeczenia do najlepszych. Rozpoczyna ona od praktyki na najprostszych zdaniach, a formy grammatyczne i prawidła składni rozwija stopniowo na rozmowach zwykłych i zaznajamiających ucznia z przedmiotami najpowszechniejszemi. Łatwością swą i prostotą metoda ta zbliża się najbardziéj do metody naturalnéj, z pomocą któréj dziecko uczy się języka ojczystego, a cudzoziemiec języka kraju w którym przebywa. Takie zalety skłoniły pedagogów do licznych wydań téj metody w zastosowaniu jéj do potrzeb rozmaitych języków. W Poznaniu i we Lwowie dzieło Ollendorff'a znalazło dwóch tłomaczów t. j. p. Moraczewskiego i p. Szczepańskiego, którego powtórną edycyję poprawił p. Błotnicki. Ale wydania te grzeszą mnóstwem błędów i niedokładności pod względem grammatycznym i stylowym, jak również przez naciąganie do naszego języka uwag odnoszących się do języka niemieckiego. Dopiero p. Bernard Lesman księgarz i wydawca, a także autor dobrze zasłużony na polu naszéj metodyki, dał nam metodę Olendorff'a w wydaniu prawdziwie poprawnem. Praca p. L. odznacza się czystą polszczyzną, starannym, sumiennym i umiejętnym układem i dla tego mając przed sobą drugie wydanie w zastosowaniu do języka francuzkiego, śmiało polecić je możemy tak do szkolnego jak i domowego użytku.

J. M. K.

Obrazy z natury, podług Wagnera i innych nowszych pisarzy zebrał *Wincenty Sarnecki*.

Jestto bardzo ciekawy obrazek rozmaitych opowiadań i opisów zjawisk natury. Powiększej części znajdą w niej młodzi czytelnicy zajmujące szczegóły z życia zwierząt przeróżnych, ciekawe przygody polowania i łowiectwa skreślone żywo i zajmująco, wyjęte widocznie z autentycznych opowiadań wędrowników przez co odznaczają się prawdą i wolnością od fałszywego fantazyjowania. Kilka ustępów poświęcono też zjawiskom i tworom przyrody *samym w sobie*; mamy więc króciótkie ale jasne opisanie planety Jowisza, malowniczy obraz stworzeń dno morza zamieszkujących, opisanie najpiękniejszych gatunków motyli. W ogóle książeczka tłomaczona bardzo starannie wyjąwszy tylko nieszczęśliwych „fofów" które sobie tak niefortunnie przywłaszczyły zakończenie męskiéj deklinacyi, przedstawia obok tego wielką rozmaitość treści, mogącéj obok zajęcia wcale przyjemnym sposobem, nie jedną pożyteczną wiadomość zostawić w umyśle. Wydanie niezbyt wykwintne ale przyzwoite i poprawne, ryciny pełne rozmaitości, gustowne i staranne.

Róg obfitości, przez *Franciszka Hoffman* tłumaczenie z niemieckiego.

Że jest obfitość—ani słowa! Płodny pisarz dziecinny posypał jak z rękawa sto piędziesiąt powiastek, mieszczących się w małym pięknym tomiku. Książeczka ta, głównie przeznaczona dla dzieci do lat 7 lub 8 zawiera istotnie w sobie wiele bardzo pięknéj i nauczającéj treści. Autor podzielił ją wedle cytat biblijnych, których praktyczne maksymy rozwija na drobniutkich wypadkach dziecięcego życia, opowiedzianych dosyć swobodnie, choćbez takiéj miłéj werwy i talentu *sui generis* jak „Perły" p. Anczyca. W każdym razie cennym jest czysto praktyczny charakter każdéj powiastki z których żadna nie jest czczą i bezmyślną. W pierwszéj części tylko dostrzegliśmy kilka fałszywych w założeniu samém starających się naprawić błędy dziecięce nie za pomocą samych złych skutków jakie za sobą pociągają, ale li tylko obawy kary, lub sposobem prób dotkliwych, na jakie wystawiają małych grzeszników rodzice chcąc ich z błędów uleczyć.. Te próby są co prawda nieraz bardzo trafnie i szczęśliwie pomyślane, ale mogą być co najwięcéj przykładem tylko dla rodziców, gdyż nieprzekonywają dzieci wcale o istotnéj szkodliwości wad i nałogów, *w nich samych* złożonych. Myślą fałszywą nacechowaną jest także powiastka „Czarna wiewiórka", która podnosi do godności zasługi wytrwałą włóczęgę po lasach jednego sprytnego malca, starającego się złapać na gwałt czarną wiewiórkę dla sprawienia przyjemności koledze. Nierosądna to przyjaźń, co tak traci niepotrzebnie czas i trudy na uspokojenie kaprysów osób ukochanych! Obok tego uważaliśmy, że autor w jednych powiastkach wystawia w nienagannem świetle łapanie ptaków i zwierząt, chociaż w innych znowu karci surowo dręczenie ich nieludzkie. Sądzimy, że nienależy pochwalać więzienia biednych stworzeń w przykréj niewoli, jeżeli ma na celu prostą tylko *zabawę*, a nie naukę lub pożytek. W każdym razie te pojedyńcze usterki są hojnie okupione przez wartość całości zeszpeconéj tylko kilkoma rażącemi błędami stylu. *J. K. K.*

ROZMAITOŚCI.

— **Nowsze przekłady utworów polskiego piśmiennictwa na obce języki.** Dr Albert Weiss przełożył na język niemiecki *Konrada Wallenroda* (Berno 1872)—a Fryderyk Horn *Sonety krymskie*. Pierwszy z tych utworów jak donosi *Rivista europea*, został świeżo przełożony na język włoski przez *Archimedesa Bottesini*. W tymże języku wyszedł niedawno przekład poezyi Lenartowicza p. t. *Poesie polacche di Teofilo Lenartowicz* (Florencyja 1871). Tłomaczenie ma być bardzo staranne. Rossyjski poeta Kozłow przełożył kilka mniejszych utworów Władysława Syrokomli. *Czesi* żywo zajmują się przekładami cennych utworów naszéj literatury, Józef Frytz tłumaczy *Irydjona*—Dr. Zeman: *Beniowskiego* i *Ojca Zadżumionych* Słowackiego, Ketitz *Listy* i *Noc letnią* Krasińskiego,—Fryderyk Szlama przełożył powieść Kraszewskiego *Bezimienna*—Ksiądz kanonik Stulc: *Wallenroda*—Vlasak *Maryją* Malczewskiego, inni wreszcie literaci czescy poprzednio jeszcze przyswoili swéj literaturze *Komedyje* Fredry, *Gawędy* Czajkowskiego i kilka powieści Korzeniowskiego. Z nowszych utworów komedyja Bałuckiego *Radcy pana Radcy* w przekładzie czeskim graną była w Praskim teatrze z wielkiem powodzeniem. Wspomniony wyżéj ks. Kanonik Stulc przełożył obecnie na język czeski życiorys ś. p. Aleksandra hr. Przeździeckiego, napisany przez prof. Józefa Łepkowskiego i wydał takowy w osobnéj broszurze.

ZAGADNIENIA.

— Pierwsze dokładne rozwiązanie *zagadnienia V-go* nadesłała Panna St. R. Obicie ma mieć $241\frac{3}{5}$ łokci długości i kosztować będzie rs. 6 kop. 4.

— *Panu Milewskiemu z Ołonieckiéj gubernii.* W rozwiązaniu pańskiém znajduje się mała omyłka, a mianowicie druk 12 arkuszy liczony był nie *po 10 rs. od arkusza*, jak wymagało zagadnienie, lecz tylko 10 rs. za wszystkie 12 arkuszy razem. Z tego powodu cena egzemplarza wypadła za niska.

Дозволено Цензурою.—W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawca, Wacław Szaniawski. Redaktor, Henryk Perzyński.

Patrz Dodatek.